

# Przyjaciel Ludu.

Rok trzeci.

No. 17.

Leszno, dn. 29. Października 1836.



Gospodarstwo tatarskie.



## Tatarzy nogajscy.

(Dokończenie.)

Uprawą roli pogardza Tatar, i odwołuje się na od wieków używane przysłowie: „Pan Bóg dał Rossyaninowi pług, a Tatarowi koło w podziele.“ Nowszemi jednakże ustawami państwa przywiązany więcej do ziemi, uczy się szanować rolnictwo, albowiem więcej ono mu zysku przynosi, jak życie koczujące. Prawo państwa wymaga po każdym, który na targach publicznych w miastach bydlę swoje sprzedaje, aby pewną ilość zboża corocznie wysiał. Dawniej siali tylko Nogajcy ulubione proso, dziś widać już na ich polach pszenicę, jęczmień i coraz więcej żyta. Narzędzia ich rolnicze są bardzo ciężkie i bardzo niedokładne; do jednego pługa zaprzęgają 10 do 12 wołów. Przed pługiem idzie rzucający w łono ziemi ziarno, które pług przyorywa, a przy nim jest zaraz przymocowana brona, rozdzielająca każdą skibę: woły przy tej pracy osobnego potrzebują dozorca, gdy drugi pługiem i broną kieruje. Podczas uprawy roli, koczują robotnicy na gołym polu, pod namiotami, gdzie im żony żywność ze wsi znoszą. Uprawa ziemi zaczyna się już w Lutym, a żniwo odbywa się w Czerwcu i Lipcu, za pomocą sierpów. Przy każdym kawałku roli zostawia się nieco zboża na pniu przy żniwie, aby to służyło na pokarm zwierzętom i ptakom. Zboże zebrane albo zaraz bywa młócone, lub też powiązane w snopy układa się w stogi wysokie zaraz przy mieszkaniu. Jednego roku zasiana rola, nie zasiewa się w przyszłym, lecz zostawia się, aby to, co się wytrząsnęło podczas żniwa, zeszło samo i wydało owoc. Konie przywiązane do pala, około którego zboże w snopkach się rozkłada, pędzone po kilka razy, wydeptują ziarno, które wywiane i oczyszczone, chowane bywa w ziemi, w dołach, coraz bardziej rozszerzających się u spodu. Śpichlerze te przykrywają się deskami, a na nie sypie się ziemia. Zboże takim sposobem przechowuje się bez zepsucia przez wiele lat.

Ponieważ Tatarzy gorliwymi są w zastósowaniu się we wszystkim do przepisów religii Mahometa, uważają zatem, równie jak Turcy, żony swoje za służebnice, i stoją do nich w stosunku, jak panowie do niewolników. Tatar mający córki, stroi je dla tego, aby wdziękami swemi ujęły młodzieńca jakiego, i żeby ten ojcu dziewczęcy tém znacniejszą za nią ofiarował kwotę pieniędzy lub bydła; młodzieniec tatarski bowiem starający się o córkę czyją, układa się z ojcem jej jako o towar jaki. Każdą niewiastę po ubiorze już poznać można, czy jest zamężną lub dziewczą jeszcze. Panny noszą na głowach wysokie czerwone czapki, ozdobione z przodu pieniędzmi tureckimi, z tyłu paciorkami szklannymi lub muszelnymi. Włosy czarne noszą albo zwyczajem krymskim, splecione

w wiele małych warkoczyków, lub też w jedną wielką kosę zebrane spuszczaają aż do pięt. W nosie noszą bogatsze srebrny pierścionek, uboższe mosiężny, napchany paciorkami: podobnie ciężkie nadzwyczaj koleczyki i bransoletki są oznaką zamożnej niewiasty. Paznogie i powieki farbują czerwono. Zwyczajny ubiór niewiasty składa się z koszuli czerwonej, płóciennej, z kaftana niebieskiej barwy wełnianego, tak krótkiego, iż koszula na kilka cali z pod niego wystaje: na to wdziewiają podczas świąt obszerną suknię jedwabną, wyszywaną sznurkami kolorowemi i metalłowemi guziczkami: zamiast tej togi, którą niewiasty w wieku, podczas zimy całą głowę okrywają, noszą także suknie ciśniejsze, obłożone futrem i upstrzone różnemi kolorowemi sznurkami. Z pod krótkich sukni widać spodnie szerokie z wełnianej lub jedwabnej materii, trzewiki żółte, z Krymu przez majątniejszych sprowadzane, a pod nie przywiązują się sandały z drzewa, dla wygodniejszego chodzenia i ochrony trzewików. Mężatka różni się od dziewczęcy kwefem, którym twarz zasłania wychodząc na ulicę lub rozmawiając z obcymi.

Tatar ubiera się wygodnie i stósownie do zatrudnień swoich; suknie jego nie są tak obcisłe jak na zachodzie, ani nie tak obszerne jak u Turków. W zimie składa się odzież Nogajca z futer: ubożsi przewracają tylko w lecie kożuchy do góry wełną, czapek z futer używają zarówno, w każdej porze roku, gołą bowiem całą głowę; majątniejsi tylko i szlachta (Murzy) noszą niekiedy zawoje wysokie. Na białą koszulę wdziewiają kaftan wełniany lub jedwabny, z kieszeniami na piersiach; nad biodrami przytwierdzają go do ciała pasem, na to biorą kozuch, a w czasie słot, obszerną z grubego sukna togę. Bez obuwia chodzić, uważa Tatar za wielką hanbę; stąd każdy używa bótów, według stanu; ubożsi noszą łapcie z kory drzew. Podczas Bajramu i wielkich uroczystości, każdy, co tylko może, przywdziewa suknie czerwone, a radość wielką widać wtedy na twarzach wszystkich.

Ulubionem zatrudnieniem Nogajców było dawniej polowanie, dziś, gdy rząd zakazał im używać wszelkiej broni, mała tylko liczba znajduje się miłośników łowów, i te odbywają się tylko, lub za pomocą siideł, lub też konno goni się zwierza, aż zmęczony legnie, przyczem konie często szwankują lub z zbytniego utrudzenia padają nieżywe.

W nowszych czasach zaprowadził rząd szkoły u Tatarów, lecz ponieważ te oddane są pod zarząd księży tatarskich (Mollahs), mało jeszcze widać błogich oświaty owoców; kapłani bowiem przestają na tém, aby się dzieci koranu, którego nie rozumieją, czytać nauczyły, lub kilka formuł modlitw na pamięć powtarzały. Rodzice nadto stawiają niezliczone przeszkody, zatrzymują dzieci w domu, a gdy sił nabiorą, używają ich za pasterzy, lub wynajmują Armeńczykom. Tak



więc starania rządu paraliżowane zostają, a ludzdatny do pracy, i nie mało okazujący zdatności, żyje w niedbalstwie i gnuśności.

### Przykład do naśladowania.

Naukowe Towarzystwo górnej Luzacyi na posiedzeniu w Görlicach 30. i 31. Sierpnia r. b. naznaczyło 50 tal. nagrody za:

zbiór pieśni ludu, wendyjskich, z górnej i dolnej Luzacyi, z niemieckim podwójnem t. j.: do słownem i wolnem tłumaczeniem, wariantami i uwagami; tudzież z dodatkiem parabol, bajek i powieści ludu wendyjskiego.

Czas odesłania ostateczny 1. Czerwca 1837.

### Podróż funta bawełny z równin Indyjskich do Europy i przemiany, jakim ulega.

Anglik pewien skreślił następującą historią podróży funta bawełny. Płód krzewu, na równinach Indyi bardzo pospolitego, bawełną u nas zwany, spuszcza się wodą Gangesu do Kalkuty, stolicy wschodnio-indyjsko-brytańskiego rządu i handlu. Ztąd, jako składowa część, tych 200 millionów funtów bawełny, które z portów Indostanu, corocznie do Anglii wpływają, dostaje się do Londynu. Ztąd idzie na osi do Manszestru, gdzie na jednej z 300 parowych maszyn zamienia się w 350 stranów, każdy po 840 metrów, a zatem rozciąga się ogółem na 294000 metrów, równających co do długości 75 milom.

Po takowej przemianie, przesłany jest do fabryki bawełnianej w Paislej w Szkocyi, (która w miesiąc wydaje kilkakroć sto tysięcy łokci, najprzędniejszych wyrobów bawełnianych). Z Paislej, na materyą już przeistoczony, idzie do hrabstwa Ayr, celem otrzymania tamże dalszego przysposobienia. Ztąd wraca na powrót do Paislej, i tu za pomocą nader zmyślnych urzędów, nadaje mu się deszeń, potem dostaje się w prasę, a nakoniec na warsztatach w Duberton bywa wyszywanym. Poczem odbywa nową podróż do bielnika do Reuszew, zkaż powtórnie wraca do Paislej, dla otrzymania nowej formy. W Glasgowie dostaje już ostatnią apreturę i wchodzi w handel. Z tego portu dostaje się do Londynu, i tu figuruje jako kropla, w olbrzymim oceanie angielskiego handlu. Tym sposobem, lekkie te kosmyki, przez rólnika indyjskiego na zaroślach bawełnianych zbierane; ten surowy płód, który bez pomocy sztuki, może do czego innego nie byłby zdatnym, jak tylko do utrzymania słabego światła, w postaci grubego knota, podczas nocy, — tym sposobem bawełna, za pomocą mechaniki, chemii i sztuki rysowania, przemienia się w jedną z naj-

piękniejszych tkanek, która wchodząc w handel ze stokrotnie powiększoną wartością, potrzeby nasze zaspokaja, i życie nam uprzyjemnia. Ale zaczętem ten dziki płód takowej uległ przemianie, upłynął najprzód w naturalnym swym stanie, przeszło 4500 mil morzem; przybywszy do Anglii przebiegł na kanałach, żelaznych kolejach i pocztami, przeszło 300 mil, i zatrudnił przeszło 150 osób, które mu są winne utrzymanie swoje i uniknienie nędzy, jakiejby ulegała znaczna część mieszkańców każdego ludnego państwa, bez podobnego zatrudnienia. Oto jest przemysł, oto są skutki nauk przyrodzonych i technologii. Młodzieży! onym się z gorliwością oddawaj, a wieniec uwity z pomyślności, dobrego mienia i wdzięczności rodaków, przystroi pewno twe skronie.

### Lazaroni.

Przez wojny krzyżowe pomnożyły się znacznie choroby, mianowicie trędy, tak dalece, że musiano zakładać osobne szpitale, których liczba w 13tym wieku bardzo była wielka. Szpitale te, obyczajem owych czasów, gdzie każdy instytut miał swego patrona, oddano pod opiekę Śgo Łazarza, który, jak wiadomo, tej chorobie podlegał (Łuk. 16, 20). Ztąd nazwisko lazaret. Zakon później nieco utworzony, także od Śgo Łazarza wziął swe nazwisko. Mieszkańcy lazaretów, dla uniknienia zarazy, osobną mieli odzież, składającą się z białej koszuli, szerokich spodni, i czapki tegoż koloru i tych zwano Lazaroni.

Lazaroni we Włoszech jest to motłoch prosty i nieokrzesany, szukający jakimkolwiek bądź sposobem zarobku; są to przekupniarze, tragarze, oszusty, lub innym jakim sposobem utrzymujący swe życie. Niektórzy zaś są to próżniaki, co włócząc się po ulicach, niczem się nie trudnią. Największa jednak część trudni się roznoszeniem i przedawaniem żywności po mieście: noszą oni duży kosz na głowie: w tym koszu mają ryby różnego rodzaju, mięso, jarzynę, jarum, sałatę, bob i inne rzeczy do jedzenia, chleb nawet. Wszystko to kupują w ogrodach lub jatkach. Słychać ich krzyk przeraźliwy po wszystkich ulicach, którym swój towar zachwalają: wprawne ich gardła krzyczą ustawicznie, i nie tak prędko się zmęczą. Inni znówu po rogach ulic łatają stare obuwie, kupują stare skóry; inni zbierają gałgany. Liczba ich wynosi do 210000 i są powiększej części obdarci, nieporządni, na pół nadzy, pełno mają na sobie robactwa, którego bez wstydu na ulicy pozbywać się zwykli. Wzimize i w lecie boso chodzą. Grubiaństwo jest ich cechą, a brak wszelkiego uczucia ludzkości, pochodzi ztąd, że bez najmniejszego wychowania w dzikości wzrosli.



## O jedzeniu i potrawach u Starożytnych.

(Koniec.)

Pomimo jednak tak umiarkowanego sposobu życia Ateńczyków, najprostsze ich potrawy będą się nam zdawać zbyt prostymi, jeśli je porównamy ze zwykłym pożywieniem Spartanów. W przekonaniu, że przysmaki i wykwintność stołu prowadzą do miękkości i słabia równie ciało jak duszę, surowy prawodawca ich Lykurg, wygnał z ich publicznych biesiad wszelkie smakowite potrawy, i takie tylko w powszechne używanie wprowadził, iż chyba głód ostateczny mógł się o nie pokusić, i do nich przyzwyczaić. Zalecił przytęm, aby wszyscy obywatele jadalі wspólnie, publicznie, i te same potrawy. Piętnaście osób najmniej, składało towarzystwo każdego stołu. Każdy obowiązany był co miesiąc przynieść do wspólnej spiżarni korzec maki, ośm garncy wina, pięć funtów sera, dwa i pół funta fig, i nieco pieniędzy, na kupienie ryb i mięsa. Jeśli kto z obywateli czynił u siebie ofiarę Bogom z pierwszych owoców, albo dostał zwierzyń na łowach, część pewną tak jednych jak drugiej, musiał oddać na stół publiczny; gdyż po ofiarach i łowach, godziło się każdemu jeść u siebie w domu.

Najsławniejszym i najpospolitszym pokarmem Spartanów była takzwana: Melas zomos, czyli czarna polewka. Najgorliwsi badacze starożytności, po długich deczekaniach i sporach, nie mogli dostatecznie rozstrzygnąć, z jakich się ona przypraw składała. Jeden z nich tak się dalece w hipotezach zapędził, iż znalazłszy na wschodzie ślady dawnego używania kawy, utrzymywał, że czarna polewka Lacedemonczyków nie była nic innego jak kawa! Drudzy z większym do prawdy podobieństwem twierdzą, iż była robioną z krwi świeżo zabitych zwierząt, zagęszczoną makią lub innym jakim sposobem. Krew, dodają inni, nie mogła być inna jak wieprzowa; jakkolwiekby, Melas zomos nie miała cżem obudzać łakomstwa. Czytamy, że Sybaryci zakosztowawszy tego Spartańskiego przysmaku, oświadczyli, iż odtąd przestają się dziwić odwadze Lacedemonczyków w boju; gdyż dość jest posiadać zmysł smaku, aby chcieć umrzeć raczej, niż żyć o tak nędznym jadłem.

Plutarch powiada, że jeden król Pontu, chcąc się przekonać o zaletach sławionej polewki, wezwał umyślnie kucharza z Lacedemony, aby ją dla niego zgotował. Gdy przyszło do pokosztowania, Monarcha w tak dobitnych wyrazach wstąpił swój i obrzydzenie oświadczył, iż kucharz dla utrzymania narodowej chwały zawołał: „królu! kto chce, aby mu Spartańska polewka smakowała jak należy, powinien się sam naprzód wykapać w rzece Eurotas; wyrażając przez to, że twarde prace i obyczaje Spartanów, są najlepszą zaprawą ich potraw.“ Tenże sam pisarz przytacza, że starzy ludzie w Sparcie, takie znajdowali

upodobanie w czarnej polewce, iż chętnie na niej jedną całą ucztę kończyli, resztę pokarmów zostawując młodszym.

Wieczera była najprzedniejszą ucztą u Greków, i dzieliła się na trzy części czyli dania. Pierwsza składała się z jarzyn, jaj, ostrzyg, i z lekkiego i słodkiego napoju, zmieszanego z młodem winem, i mającego tę własność, że gust do jedzenia zaostrzało. Drugie danie stanowiły mięsiwa, gotowane, pieczone, i z różnemi sosami przyprawne. Trzecie, jak nasze wety, składało się z przysmaków; mianowicie z konfitur.

Podczas znaczniejszych uczt i uroczystości, zwyczajem było u Greków, mieć kilku urzędników, zajmujących się urządzeniem i doglądaniem porządku biesiady. Pierwszy z nich Symposiarch, czyli Przewodnik, wybieranym był z grona gości, i zaszczyt ten pospolicie najwzelszego i najdowcipniejszego spotykał. Obowiązkiem jego było ożywiać wesołość i utrzymywać przystojność między gośćmi, zachęcając ich do podochocenia winem, lecz niedopuszczając pijaństwa. Następujący po nim urzędnik, zwał się królem (Basileus). Do niego należało przestrzegać przyzwoitości w rozmowach i w obęjściu się towarzyskim biesiadników; jako też doglądać, aby każdy z nich przepisana miarę wina spełnił koniecznie. Dwaj inni urzędnicy, którzyby z polska krajczym i podczasym nazwać można było; trudnili się: pierwszym, krajaniem i rozdawaniem mięsa, drugi mierzeniem i nalewaniem wina. — W tak urządzonych ucztach, niewstrzeźliwość rzadką była; lecz ponieważ sędzono, że pewna ilość wina jest koniecznie potrzebną do rozweselenia serca i ożywienia myśli, żaden z gości pod karą wypędzenia z towarzystwa, nie mógł się uchylać od wypicia przepisanej miary. Szczegół ten, na pozór drobny, okazuje wielką wyższość Greków nad innemi narody. Gdy bowiem gdzieindziej łechtanie podniebienia i zawrót głowy jest prawie jedynym celem i skutkiem biesiady; w Grecyi pokarm i napój uważano tylko za środek do obudzenia myśli, wyobraźni, dowcipu i w ogólności moralnych władz człowieka.

## Przysłowia i Piosnki gminne.

Kto przy Obrze,  
Ma się dobrze.  
Wolno przez groble i mosty,  
Chceszli mieć grzbiot prosty. —  
W niebytności  
Jego Mości,  
Dobry Podstarości.  
Wojskowi mawiają:  
Gdzie strona,  
Tam żona. —

Łaska pańska, gust kobiet, pogody jesienne,  
Wszystko to odmienne.



Kto chce mieć zagarki,  
Musi mieć folwarki. —  
Wpatruje się jak w tuza —  
Per dominum pstrum; (mówi się o rzeczach  
zbyt szybko, a źle zrobionych: zapewne  
dla tego, że przy Mszy ś. chłopcy dla  
pośpiechu; per dominum nostrum, tak  
skracać zwykli.

Jednemu sztyła gołą, drugiemu i brzytwy niechęć.  
Goły jak turecki święty. —  
Bóg dał, Bóg wziął. —  
Upił się, jak cztery dziewczki.  
Optywa jak pączek w masle,  
Tylko ptasiego mleka mu brak.

Niechęć Krakowianki, boby mnie zniszczyła;  
Jeszcze w łóżku leży, jużby kawę piła:  
Lepsza dziewczka ze wsi, będzie mi robiła;  
Jeszcze nie świeciło, już po wodę była.  
Bo to Krakowianki, wielkie przewarżanki,  
Niechęć chleba, sera, jeno obwarzanki.

Chożo, chożo, po naszymu,  
Dałam buzi koniuszemu.  
Dałam, dałam, miałam za co,  
Tobie niedam, boś ladaco.

Siedzi szewczyk na warszacie,  
Szyje trzewik Małgorzacie;  
Małgosia się też raduje,  
Że nowy trzewik obuje.  
Małgorzato, daj mi gęby,  
Obszyję ci trzewik wszędy,  
I obszyję i podkuję,  
Jak cię pięknie pocałuję.

#### Kasia.

Nie chcę cię Kasin, niechęć cię;  
Masz złych sąsiadów, gania cię,  
Ze rano nie wstajesz, bydelka nie doisz,  
Kądziolki nie przedziesz,  
Złą gospośią będziesz.

Nieprawda Jasiu, nieprawda,  
Kto to powiadał, zje diabła,  
Bo ja rano wstaję, krówki me wydoję,  
Kądzioteczkę przędę,  
Gospodynią będę.

Jeśli mi Jasiu nie wierzysz,  
To jak się ze mną ożenisz,  
Kupisz mi dzwoneczek, do moich nóżeczek,  
Jak będę wstawiała,  
To będę brząkała,  
To się przekonasz.

Szklanny piec, szklanny piec,  
Żelazne zawiasy;  
Leciały gołębice  
Przez bory i lasy;  
Leciały, leciały, zgorzały im skrzydła;  
Jest to u nas dziewcząt, jak w Gostyniu była.

Stoi gruska na ogrodzie,  
Gruszek nie rodzi,  
A tu u nas panny stare,  
Parobcy młodzi.

#### Wianek.

O wianeczku lewandowy,  
Nie spadaj mi z mojej głowy,  
Bom Cię prawą rączką wiła,  
Pókim jeszcze panną była.

Już cię teraz więc nie będę,  
Bo już za mąż teraz idę;  
Mój wianeczku z białej róży,  
Nie jeden mi dla cię służy.

Służą panny, służą wdowy,  
Mój wianeczku lewandowy,  
Mój wianeczku mój zielony,  
Do kolutka opleciony,  
Talarami obsypany,  
Od matuli, od kochanej.

Zielona łączka, piękny kwiat,  
Wędruj Kasieńku za mną w świat.  
„A jakże ja mam wędrować,  
„Będą się ludzie dziwować.“  
Niechaj się ludzie dziwują,  
Że Kasia z Jasiem wędrują.

#### Wielki tydzień w Rzymie. \*)

Być we Włoszech, a nie być w Rzymie podczas Wielkiego Tygodnia, jest to, według przysłowia: być w Rzymie, a nie widzieć Papieża; grzech równie nieodpuszczony w oczach ciekawych podróżników, jako też w oczach sędziów, którzy ich kiedyś za powrotem do kraju mają badać i sądzić, jak użyli czasu podróży. To też będąc już w Rzymie, dosyć jest wyjść przed niedzielą kwietnią, na gościńce ku miastu wiodące, ażeby się przekonać o nawale ciekawych pielgrzymów. Mówię ciekawych tylko, gdyż pomimo usiłowań najwyższej wyobraźni, trudno jest w modnych koczykach, pozłocistych landarach, opakowanych weturach, \*\*) przy odgłosie trąbek pocztarskich, lub aryj z nowych oper przez weturynów śpiewanych, upatrzyć owych dawnych pobożnych pielgrzymów, co z brzemieniem tylko swych grzechów, w kapturze i włosiennicy, z kijem w rękę i torbą na plecach, szli piechotą z najdalszych krain na miejsce powszechnego odpustu, pokutne psalmy śpiewając.

\*) Z dziennika podróży odbytej we Włoszech, niedrukowanej jeszcze. P. R.

\*\*) Vettura, powóz; imię niejako właściwe najemnych karet furmańskich, z półkoczykiem najprzód, z ogromnym koszem ze trzciny, przymocowanym z tyłu, gdzie się zamykają rzeczy podróżnych.



Wprawdzie i to powiedzieć trzeba, że ktoby dziś z takim uczuciem przybył do stolicy Chrześcijaństwa, dla obchodzenia najświętszej w Chrześcijaństwie pamiątki, dla zbudowania się widokiem obrzędów w najwspanialszej na świecie świątyni, przez najwyższego naczelnika wiary odprawiać się mających: jakżeby się zadziwił, zgorszył albo zasmucił, widząc, iż oprócz jednego błogosławieństwa Papieża, wielkiego istotnie i uroczystego obrzędu, wszystkie inne zdają się być zamienione na teatralne widowisko, pokazywane za biletami, dobrze że niepłatnemi, i przeznaczone jedynie dla zwabienia i zabawy cudzoziemców, po większej części różnowierców (Anglików); a to tak dalece, że żaden rodowity Rzymianin, cóż dopiero ubogi pielgrzym i biletów dostać nie może. Pielgrzym taki, gdyby był z naszego kraju, pożalowałby może nieraz owych prostych ale pełnych wrażeń obrządków swego parafialnego kościoła, gdzie wszystko w dniach męki pańskiej nosi cechę opustoszałego domu, którego Pan leży na na marach; owego grobu w ciemnicy, otoczonego ludem pełnym wiary, modlącym się i płaczącym, jakby nad rzeczywistym grobem Zbawiciela; owę nakoniec Rezurekcję nocną, gdy z łona grobowego milczenia, przy zmięszanym odgłosie trąb, dzwonów, moździerzy i organu, zabrzmi nagle wesołe alleluja; rozjaśnia się ołtarza ściany, a promienne monstrancjum z grobu wyjęte, zabłyśnie nad ukorzoną ludem, jak widomy symbol zbawienia, wschodzącego dla nas z bram śmierci!...

Nic z tego nie znajdzie w Rzymie. Wszystkie obrzędy odbywają się nie w kościele Św. Piotra, jakby się spodziewać należało, lecz w prywatnej kaplicy papieskiej Sykstyńskiej zwanej, i w ciśniejszych jeszcze pokojach Watykańskiego pałacu, zdolnych ledwo pomieścić dziejącą część widzów, tłoczących się jakby na teatr. Nic nie pomogą bilety przez kardynałów lub posłów dawane; trzymającą straż Szwajcarowie, w ubiorze z 14 wieku: w pancerzach, pstrych kubrakach, czerwonych pończochach, i okrągłych kapeluszach z piórami; odpychają halabardami, bez różnicy płci i wieku, tych wszystkich, co albo się już zmieścić nie mogą, lub się im niepodobają z pozoru. Wynikające z tego zgietk, zamieszanie, i często formalne bitwy, odbierają na wstępie wszelkie religijne uczucie. Szczególnie, kto się wedrze przebojem, lub czylając na wejście którego z kardynałów, uczepli się szat jego, i pchając go bez ceremonii przed sobą, ustrzeże się ręki Szwajcara, co go zwykle chce schwytać za kołnierz. Myśmy w tym byli szczególniejsi od drugich, i to dość osobliwie, za pomocą Kalwińskiego pastora z Genewy. Krewny jego, naczelną dowódzcą Szwajcarów, dał mu nie mniej osobliwy bilet: imię swoje napisane na dwójce żółtej, z wyciśnioną na laku pieczęcią. Na widok tego talizmanu, halabardy schylały się przed nami, lub same rozpędzały tłumy, nie chcące ustąpić nam z drogi.

Tym sposobem we Czwartek o godzinie 6 rano, dostaliśmy się do kaplicy Sykstyńskiej; nabożeństwo zacząć się miało o siódmej; ale nikt na świecie nie potrafiłby zgadnąć nie widząc, na czym zchodził czas oczekiwania Anglikom i Angielkom, składającym przynajmniej połowę zgromadzenia: oto na jedzeniu i na wzajemnym częstowaniu się śniadaniem, którego nie pośpieszyli zjeść w domu. Z worków, z koszyków, z papierków, wychodziły kolejną ciasta, bułki, a nawet grzanki chleba z masłem, nakładane wędliną; i znikwały pod białymi jak wilcze zębami wyspiarzów, którzy nawet ust chustką zakrywać nie raczyli. Oburzający ten widok, więcej niż tłok i gorąco, wygnał nas z kaplicy na kurytarz, gdzie jak łódź na uwięzi, pochylani, ustawnie na tę i na ową stronę, ruchem skupionego mnóstwa; równo z końcem nabożeństwa, uczuliśmy się jak też łódź porwani strumieniem ciżby, i przez różne ganki i kurytarze, zanieśieni na wierzch krużganków otaczających plac Ś. Piotra, zkąd mieliśmy się przypatrywać błogosławieństwu Papieża. Dwa razy ma ono miejsce: podczas Wielkiego Tygodnia we czwartek, i w pierwszy dzień święta. Ostatnie jest daleko wspanialsze i uroczystsze, i zdążył nosi nazwanie: błogosławieństwa większego (La benedizione maggiore); o niem też wspomnę nieco obszerniej, zwłaszcza że w obudwu razach obrzędy są jednakie; a teraz wracam do opisanie reszty Wielko-czwartkowych obrządków.

Zaraz po błogosławieństwie, następuje umywanie przez Papieża nóg Pielgrzymom; obrzęd prawdziwie wzruszający, gdyby się odbywał w kościele, a nie w ciasnej izbie pałacu. Pielgrzymi w liczbie 13, ubrani w długich, białych sukniach, w jakich zwykle Apostołów malują, w wysokich nakształt infuł czapkach, siedzą w półkole, na podwyższonych siedzeniach. Papież, mając za sobą kilku kardynałów, niosących miednicę, nalewkę i ręczniki, zbliża się z kolei do każdego, i powitawszy niskim pokłonem, leje wodę na obnażone nogi, i otarłszy je ręcznikiem, całuje. Tak mię przynajmniej zapewniali stojący bliżej, gdyż sam za tłumem, pocałowania dojrzeć nie mogłem. Pielgrzymi w czasie umywania nóg, zdejmują czapki, i zaraz po umyciu, otrzymują z rąk kardynała ogromny pęk kwiatów, przez Papieża wpród poświęconych. Po skończonym obrzędzie, udają się rzędem do przyległej sali, gdzie na nich czeka stół, zastawiony obficie, i uwieniczony kwiatami, którego nakrycie, i osobne przed każdym zastawiane potrawy i wina, może każdy zabrać z sobą do domu, lub komu się podoba odesłać. Na ten koniec za każdym stoi ogromny kosz, w który służy półmiski i butelki pakują. Jeden tylko z pomiędzy trzynastu, polak, Xiądz Z. (gdyż sami tylko księża, kapłani na pielgrzymów wybierani bywają), przypadający na siebie udział, darował usługującym do stołu sługom Papieskim.



By wyjść z obiadowej sali pielgrzymów, chcąc nie chcąc, trzeba przechodzić przez drugą, gdzie wszyscy kardynałowie, u jednegoż stołu, jedzą wieczerzę Pańską. Posągi dwunastu Apostołów, z lanego srebra, służą za wspólną ozdobę stołu. Z resztą każdy kardynał je osobne potrawy z własnej kuchni, na srebrze i porcelanie z własnego kredensu, mając za krzesłem dwóch lub trzech służących w liberyi. Wszystko to ma pozór pańskiego obiadu; ale nikomu pewno z Chrześcian nie przypominałoby wieczerzy pańskiej. Jest to ostatnie Wielko-czwartkowe widowisko w Watykanie, na które wygłodniali od rana widzowie, cisną się z niezmordowaną ciekawością, jakby się chcieli nasycić zapachem kardynalskich przysmaków. Wyszedszy ztamtąd, odetchnęliśmy z rokoszą świeżem powietrzem dopiero o g. 4. po południu.

Z większym bez porównania uczuciem widzieliśmy tegoż dnia wieczorem w klasztorze Trinita dei Pellegrini, umywanie nóg siedemdziesięciu prawdziwym pielgrzymom, przez jednego z kardynałów i kilku pierwszych panów świeckich, którzy im sami potem usługiwali do stołu. Klasztor ten z przeznaczenia swojego obowiązany jest ze składkowych dochodów dawać pomieszkanie i żywność przez trzy dni wszystkim przybywającym do Rzymu pielgrzymom. Wzruszający był widok ludzi z różnych stron i krajów po większej części starców, w ubiorze pielgrzymkim, siedzących u jednego stołu, połączonych braterstwem wiary, ugaszczanych w imię Chrystusa! Wieczerzę ich składały: makaron, ryby, rożynki, jabłka, chleb, woda i wino. W oddzielnych izbach, gdzie mężczyznom wchodzić nie wolno, pierwsze damy Rzymskie, oddają równaż posługę pielgrzymkom.

Wielki-Piątek. Groby ani tak pięknie przybrane, ani tak tłumnie odwiedzane jak po naszych miastach. Nad wieczorem w kaplicy Syxtyńskiej sławne Miserere, wykonywane przez śpiewaków Papieskich. Trudno jest oddać słowami urok tej muzyki wokalne; to tylko można powiedzieć, że żadna muzyka na świecie, nie zdołałaby sprawić podobnego wrażenia. Głosy naśladują doskonale różne narzędzia muzyczne: flet, harmonikę, a niekiedy brzmienie organu. Cafe miserere nie trwa nad 20 minut. Po skończeniu jego, kardynałowie wraz z ludem, udają się processją do kościoła Św. Piotra, gdzie następuje ukazywanie z krążganki relikwii Św. Krzyża, i chustki Św. Weroniki z obrazem twarzy Zbawiciela. Kardynałowie i lud cały, na kolanach częściej im oddają.

Wielkanoc. O wschodzie słońca huk dział i dziwnie wesoły (en carillon) odgłos dzwonów po mieście, jest pierwszym, odpowiedniem uroczystości hasłem. Na walach zamku Św. Anioła, zatknięte białe chorągwie, z herbami miasta Rzymu i panującego Papieża, powiewają nad drogą do Św. Piotra wiodącą, i same ją zdają

się wskazywać. Mszę przy środkowym, wielkim ołtarzu, odprawia sam Papież, siedząc na tronie, twarzą obrócony do ludu; po bokach, podług starszeństwa, siedzą rzędem kardynałowie i Biskupi, w paradnych ubiorach; sześciu z nich w ornatach, służy Papieżowi do mszy s.: wspólniejszy jeszcze widok z drugiej strony ołtarza; cały kościół Św. Piotra napelniony ludem! ... który się w nim nawet pomieścić nie może, i widać przez drzwi otwarte, jak z odkrytymi głowami plac i krążganki zajmuje. Po skończonem nabożeństwie, obie masy łączą się z sobą na placu, oczekując błogosławieństwa Papieża.

Kto by chciał choć w najmniejszej części pojąć wielkość i wrażenie tego obrzędu, niech nie zważa na słowa opisu, ale spojrzawszy na rycinę, niech sobie wystawi w myśli ów przepyszny plac Św. Piotra, z kościołem Watykańskim z przodu, z olbrzymimi krążgankami po bokach, z dwiema najpiękniejszymi w świecie wodotryskami i obeliskiem w środku; zamknięty z czwartej strony kilkunastą rzędami powozów, napelniony kilkunastą albo i więcej tysiącami ludzi, oczekujących z religijnem wzruszeniem na ukazanie się i błogosławieństwo Namiestnika Chrystusowego; nad tém wszystkiem błkitne niebo włoskie, i pogodne słońce kwietniowe! — Powietrze drży od gwaru; w tém w głębi ciemnego okna, nad przysionkiem kościelnym, promień słońca odbił się o coś jasne i błysnął. W jednej chwili cichość powszechna; wszystkich oczy w jeden cel wryte! Jasność w oknie powiększa się, wysuwa, i jednym razem za pomocą urządzonej ku temu maszyny, ukazuje się nad przysionkiem Papież, siedzący na tronie, w białych szatach, w tyarze, otoczony półkołem kardynałów w purpurze. Huk dział, dźwięk dzwonów, odgłos trąb, bębnow i rozstawionych muzyk, zabrzniały razem, jak piorun, i równie nagle zamilkły. Papież powstaje z tronu, podnosi obie ręce ku niebu i modli się za lud nad ludem. Cichość — jakby nikogo nie było; wrażenie nie do opisania; każdy w tej chwili być musi Katoikiem w duszy. — Papież opuszcza ręce i zwracając się na trzy strony, błogosławi „światu i miastu“ (orbi et urbi). Znowu działa, dzwony, bębny i muzyka jak przedtém, zmieszane z ogólnem rżeniem koni, przerażonych tém nagłym przejściem z milczenia do wrzawy. Wszystek lud na kolanach, w pokorze i w milczeniu, jak gdyby po przyjęciu Sakramentu ołtarza. Papież usiadł na tronie, chwilę jeszcze pozostaje na miejscu, powtarza błogosławieństwo siedzący, usuwa się w głąb okna i znika.

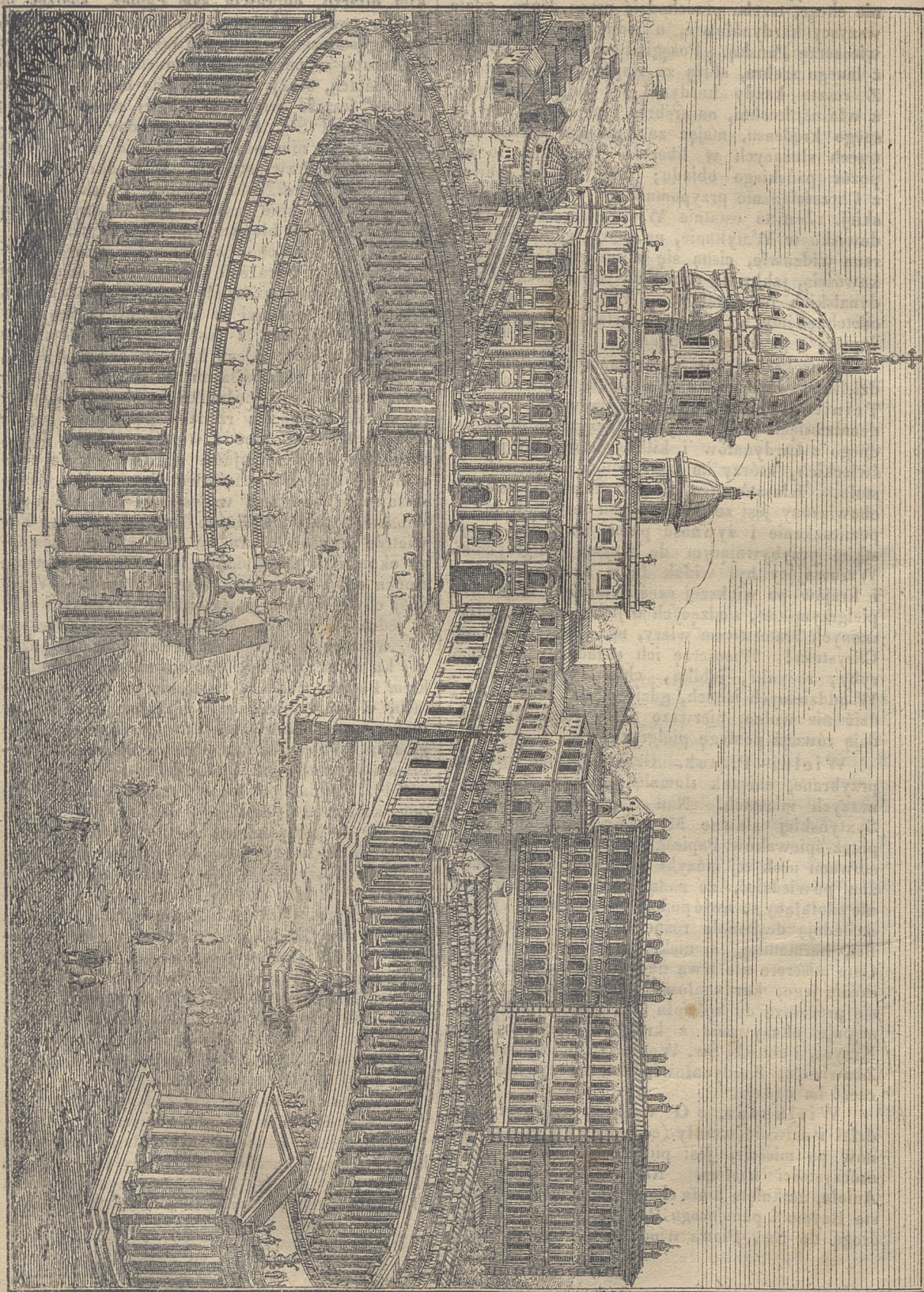
Godzien politowania, kto świadek tego obrzędu, głębokiego nie doznał wzruszenia!

Wieczorem oświecenie kopuły, kościoła i krążganków, i nazajutrz wspaniały fajerwerk na zamku Św. Anioła, kończą uroczystości świąt Wielkanocnych w Rzymie.

\*O.



By wzięte z opistońców soli pieszczotliwych, choć się wstydzić, nie mogą. Masz przy sobie, wiesz, wiesz.



Kościół Ś. Piotra w Rzymie, wraz z placem.